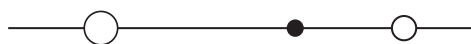


MARAH WOOLF

KRONIKI ATLANTYDY
KSIĘGA PIERWSZA

BERŁO ŚWIATŁA

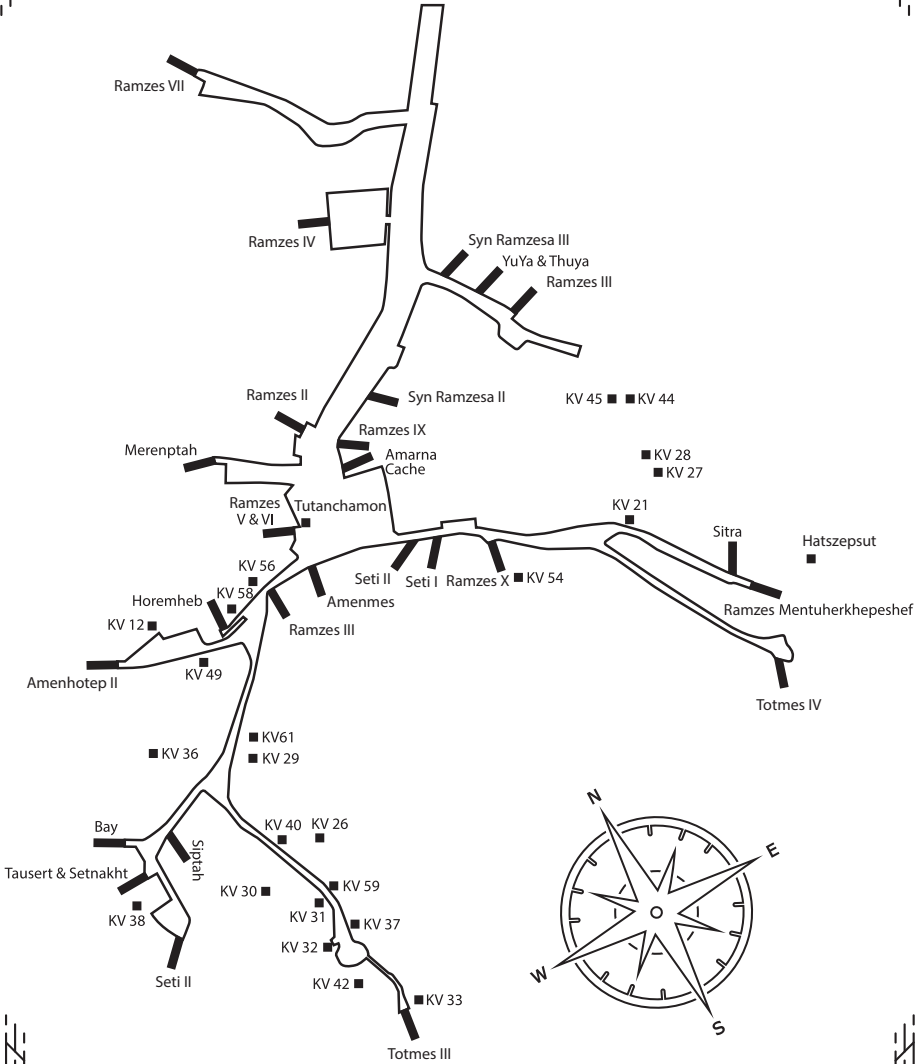


Przełożyła Ewa Spirydowicz



NICKY,
gdyby nie Twój wiersz o aniele śmierci,
nie stworzyłabym Azraela

DOLINA KRÓLÓW



LADY NEFERTARI DE VESCI TARIS

Boston, Beacon Hill

Październik



Stoję na zewnątrz, obserwuję uliczkę i dom po jej drugiej stronie. Otacza mnie smród śmieci i odpadków, więc marszczę nos. Nie spodziewałam się takiego odoru w tak wytwornej dzielnicy. Nieprzyjemny zapach uprzykrza mi te chwile. To przecież najzamożniejsza dzielnica Bostonu, można by oczekiwać, że będą tu panowały porządek i czystość.

Gdyby typ, który mieszka niedaleko stąd w eleganckim domu, chociaż raz odebrał pieprzony telefon, nie musiałabym teraz sterzeć w siąpiącym deszczu. Ale nie spieszy się, bo od dawna wie, czego od niego chcę. Powinnam była zapłacić strażnikowi w Karirze za milczenie. Stracił pracę i musi wyżywić piątkę dzieci. To zrozumiałe, że zadzwonił do dawnego pracodawcy, szemranego menadżera funduszy hedgingowych, który ma więcej pieniędzy, niż jest w stanie wydać, ledwie z niego wydusiłam nazwisko owego menadżera. Najbardziej wkurza mnie, że tego nie przewidziałam,

ale myślami byłam cały czas przy Malachim. Mój brat z dnia na dzień czuje się coraz gorzej. Powinnam teraz być u jego boku, a zamiast tego... Otacza mnie kolejna fala cuchnącego powietrza. Obrzydlistwo, idę o zakład, że smród już mnie oblepia. Przeszywa mnie zimny dreszcz. Nie wierzę w duchy czy inne bzdury, ale Boston to miasto o skomplikowanej przeszłości, więc wszystko jest możliwe. Odwracam się, lecz widzę tylko ciemność. Światło z ulicy nie wnika w wąską alejkę, która dzięki temu stanowi doskonałą kryjówkę. Staroświeckie lampy gazowe, które wyrosły na chodnikach wyłożonych czerwoną kostką, służą raczej do ozdoby niż czegokolwiek innego. Tu, w Beacon Hill, każdy szczegół przywodzi na myśl historię, a wszystko po to, by spodobać się turystom. Nawet ten cuchnący zaułek ma specyficzny, staroświecki urok. A przecież to nawet nie prawdziwy zaułek, tylko raczej wąskie przejście.

Za moimi plecami rozlega się chrzęst, jakby ktoś sunął szponami po murze. Niejedno przeżyłam w podróży i z całą pewnością nie jestem tchórzliwa, ale nienawidzę szczurów. Szukam noża u pasa, ukrytego pod miękkim skórzanym płaszczem. Upewniam się, że w kieszeni dżinsów mam spray pieprzowy. Wszystko jest na swoim miejscu. Rzadko zdarza mi się znaleźć w takiej sytuacji, żebym musiała się bronić, ale lepiej sprawdzić. Ludzie, z którymi miewam do czynienia, rzadko dają się przyłapać, lecz zdarzają się także na tyle głupi, że pozwalają, bym ich wytropiła. Ten typ nie stanowi wyjątku. Teraz wstaje, podchodzi do jasno oświetlonego okna, by zaciągnąć zasłony. Chociaż jestem na sto procent pewna, że mnie nie widzi, jego spojrzenie przyprawia mnie o dreszcz. W żyłach buzuje mi adrenalina. To w mojej pracy lubię najbardziej. Podniecenie tuż przed schwytaniem

zdobyczy, na którą czasami poluję wiele miesięcy, zanim trafi w moje ręce. Malutki posążek, który jest moim celem, znajduje się tam, w domu, gdzie nie jego miejsce. Ale typ w końcu go odda, jak wszyscy.

Od strony morza wiekowymi uliczkami nadciąga mgła, zakrywa ostatnie promienie słońca. Ruszam z miejsca, gdy wyobrażam sobie, że słyszę za sobą cichy warkot. Nie odwracam się, tylko przechodzę przez ulicę, mijam niskie, czarne ogrodzenie z mosiądzu, pokonuję schody prowadzące do ciemnozielonych drzwi w półokrągłej, bogato zdobionej framudze. Dom musi być wart majątek, ale przecież biedak nie mógłby sobie pozwolić na skradzioną figurkę. Znajduję przycisk dzwonka. Po chwili drzwi stają otworem.

Mężczyzny nie cieszy mój widok.

– Panna de Vesci – wita mnie mimo to. – Wydawało mi się, że sekretarka jasno dała pani do zrozumienia, że nie jestem zainteresowany spotkaniem, a tym bardziej nie życzę sobie, by nachodziła mnie pani w domu.

Nie pouczam go, że uprzejmość wymaga, by posłużył się moim tytułem, skoro wysłałam mu wizytówkę. Amerykanom po prostu brakuje klasy.

– W takim razie dobrze się składa, że odczekałam, aż pańska urocza żona wyjedzie z dziećmi. Nie chcemy przecież, by maleństwa dowiedziały się, że ich tatuś jest złodziejem.

Nalane policzki i tłusta szyja oblewają się czerwienią. Korzystam z okazji, by precyzyjnie się obok niego.

– Proszę zamknąć drzwi! – rozkazuję i chociaż ten człowiek na co dzień dyryguje setkami podwładnych, spełnia polecenie. – Mój czas jest ograniczony, dlatego proponuję, żeby oddał mi pan

posążek, zanim przekazę policji dowody, że nabył pan kradziony towar. Ani panu, ani mnie nie zależy na śledztwie. Moim zadaniem jest tylko zwrócić posążek do muzeum, gdzie jego miejsce.

– Nie wiedziałem, że figura została pozyskana w sposób nielegalny. – Otwiera i zaciska dłonie. Idę o zakład, że najchętniej skręciłby mi kark, ale brak mu odwagi. Znam ten typ. W towarzystwie kumpli rzuca pogardliwe kawały o kobietach, cudzoziemcach, o najsłabszych jednostkach w społeczeństwie. A więc o każdym, kto nie jest równie uprzywilejowany jak on. Czuje się niepokonany w swojej białej wyższości. Ale w cztery oczy pokornieje, zwłaszcza przyłapany na gorącym uczynku. Tego rodzaju ludzie tak bardzo boją się utraty prestiżu, że najczęściej robią to, czego od nich oczekują. Ten tutaj nie jest wyjątkiem. W jednej chwili straciłby wszystkich tak zwanych przyjaciół, gdybym naśłała na niego prokuratora, a przecież każdy z nich ma swoje za uszami. Na szczęście jest na tyle bystry, by zdawać sobie z tego sprawę. Przechyliam głowę na bok i zbywam milczeniem jego żalosne tłumaczenie. Głupota nie chroni przed karą.

Odwraca się gwałtownie i rusza w kierunku drzwi po prawej stronie wąskiego korytarza. Wnętrze domu urządzone równie gustownie, jak zapowiadała to fasada. Facet prowadzi życie idealne, więc na pewno nie zaryzykuje. Nie dla tysiącletniego posążka. Nawet jeżeli wiem, że zapłacił za niego ponad milion dolarów. Co za marnotrawstwo, skoro może go tylko trzymać w sejfie i ukrywać przed wzrokiem innych. Co za żalosne życie, skoro radość przynosi jedynie posiadanie.

Idę za nim i bez słowa obserwuję, jak otwiera sejf.

– Ma pani dla mnie kopię? – pyta ochryple, sięgając po niewielką kasetkę.

– Oczywiście. – Wyjmuję niemal idealną kopię z kieszeni płaszcza i stawiam na stole. Jego żona nie zorientuje się, że to nie oryginał.

Podaje mi kasetkę. Ostrożnie unoszę wieko. Widok połączającej drewnianej statuetki zapiera dech w piersiach. Młodziutki faraon Tutanchamon w objęciach bóstwa. Siedzi na jego ramionach, a dokładniej na jego rękach. Faraon nosi koronę, która przywodzi na myśl nakrycie głowy królowej Nefretete, chociaż nigdy nie udowodniono na sto procent, że naprawdę była jego matką. Ostrożnie wyjmuję figurkę ze skrzyneczki, owijam w chustkę i wsuwam do kieszeni.

– Muzeum Egipskie bardzo dziękuje za współpracę.

Mężczyzna prycha pogardliwie, wkłada kopię do kasetki i ponownie chowa w sejfie.

– Na przyszłość radzę trzymać się z daleka od takich interesów.

– Żegnam, panno de Vesci – cedzi, mrużąc oczy.

Zgrał i przegrał. Nie dziwię się jego frustracji. Wzruszam ramionami i korytarzem wycofuję się do wyjścia. Na szczęście nie idzie za mną, więc sama zamykam za sobą drzwi i oddycham z ulgą. Teraz jeszcze tylko muszę zabrać figurkę do domu i sprawa załatwiona. Ale ja też padam z nóg, a do tego umieram z głodu. Ostatnie dwa tygodnie były bardzo nerwowe. Nawet euforia wygranej nie zdołała przegnać zmęczenia. Na chwilę unoszę twarz ku niebu, wystawiam się na ożywczy deszcz, zbiegam schodkami na chodnik i ruszam uliczką w prawo. Wokół nie ma nikogo. Ciśniej otulam się płaszczem. Niedaleko jest mały hotelik, w którym prześpię się kilka godzin. Jutro bladym świtem mam samolot. Chmura zasłania księżyc w pełni, robi się jeszcze ciemniej. Przyspieszam kroku, w myślach jestem już pod gorącym prysznicem,

w wygodnym łóżku. I właśnie przez to wyobrażenie warkot za moimi plecami dociera do mnie o sekundę za późno.

Kretyński błąd żółtodzioba – to ostatnia myśl, która przelatuje mi przez głowę, zanim zaatakuje mnie cuchnące cielsko. Uderzam kolanami w nierówną nawierzchnię. W ostatniej chwili udaje mi się zamortyzować upadek, tak że moja twarz zawisa nad trotuarem. Coś lekkiego spada na mój policzek, pali skórę. Cholera. Gdyby przekłęty bogacz nasłał na mnie płatnego zabójcę, byłabym w mniejszych tarapatach. Ale na moich plecach z całą pewnością siedzi nie człowiek, lecz demon. Ciężar na grzbiecie znacznie utrudnia mi oddychanie, dłonią macam dżinsy w poszukiwaniu sprayu pieprzowego i modłę się, żeby figurka w kieszeni płaszczu się nie rozbiła. Wówczas musiałabym demonowi, który obrzydliwym jęzorem przesuwają po moim policzku i zapewne zastanawia się już, jak bardzo jestem smakowita, powyrywać ręce i nogi. Oczywiście jeśli przeżyję. Serce podchodzi mi do gardła, kieruję się nie tyle rozsądkiem, co instynktem. Unosząc biodra, przesuwał się w lewo, z całej siły wbijam potworowi prawy łokieć w bok. Piszczu zupełnie nie jak demon, więc korzystam z okazji, by się odwrócić i nasadą dłoni uderzyć go w nos. Stwór stacza się ze mnie, podrywam się na równe nogi, choć niepraktyczny płaszcz i torebka nieco krępują mi ruchy. Odskakuję, usiłuję wziąć się w garść. Demon rzuca się na mnie, wtedy unoszę dłoń, przyskam mu sprayem pieprzowym prosto w wielkie, płonące ślepia, kopię między grube nogi, przypominające kolumny. Wrzeszczy, gdy trafiam w czuły punkt. Niestety nie ucieka, tylko atakuje ponownie. Zakrzywione szpony przecinają powietrze. Nie widzi mnie, bo zaciska powieki. Podobno ten spray pokona nawet niedźwiedzia, Niestety na demony chyba nie za bardzo

działa. Powinnam ratować się ucieczką, póki nie widzi. Odwracam się, ale stwór chwyta pasek mojej torebki i przyciąga mnie z powrotem. Padam na plecy, z trudem nabieram powietrza. Pazur dotyka mojej szyi. Na próżno usiłuję się uwolnić, on napiera na mnie coraz mocniej. Mam mroczki przed oczami, znowu czuję jad na twarzy. Zaraz stracę przytomność, a przecież nie mogę umrzeć przed Malachim. To nie do pomyślenia. Ta świadomość dodaje mi sił. Nagle wybucha ostre światło, ucisk znika. Podmuch powietrza obsypuje mnie garścią cuchnącego, gorącego popiołu, a na niebie znowu jaśniej księżyc w pełni. Kaszlę, usiłując odzyskać oddech, i opieram się na łokciach. Mam wrażenie, że każda cząstka mojego ciała boli albo piecze. Chyba jestem już za stara na to gównu.

Przed sobą widzę nieznanego mężczyznę.

– Rozczarowała mnie pani, panno de Vesci. To był zwykły demon bramy, obcinacz głów. Może następnym razem zaopatrzy się pani w prawdziwą broń? – Choćby się starał, nie mógł brzmieć bardziej obojętnie i pogardliwie.

– Pomoże mi pan, zamiast zadawać durne pytania? – Chcę, żeby podszedł, chcę go zobaczyć albo kopnąć w krocze, na wypadek gdyby mnie też chciał przemienić w kupkę popiołu. Najwyraźniej mam dzisiaj kiepski dzień. A przecież to wyglądało na całkiem normalne zlecenie. Nic nie sugerowało konfliktu z nieśmiertelnymi.

W odpowiedzi rozlega się zimny śmiech, który napawa mnie większym przerażeniem niż atak demona. Może lepiej niech zostanie, gdzie jest. O typie, który stoi przede mną, można powiedzieć wiele, ale na pewno nie to, że jest przeciętny. Z odległości co najmniej dwunastu stóp zrobił z demona kupkę rozżarzonego popiołu. Za pomocą światła. Tym samym od razu zdradził, kim

jest. To anioł. Zbieram się w sobie, obronnym gestem kładę dłoń na torebce. Jeżeli zjawił się ze względu na figurkę, czeka go gorzki zawód. Nie dostanie jej. I znowu ten cichy, zimny śmiech, a potem otacza mnie fala jego zapachu. Czuję piasek i wodę, powietrze i ziemię. Jeszcze tego nie wie, ale przez ten zapach rozpoznam go zawsze i wszędzie. Jestem dumna z mojego zmysłu węchu. Tyle że wątpię, byśmy mieli się jeszcze kiedykolwiek spotkać. To tylko głupi przypadek.

– Proszę wracać do domu – żegna się. – A w przyszłości bardziej na siebie uważać. – Odwraca się na pięcie i po prostu odchodzi.

Zaniemówiłam. Nie ruszywszy się z miejsca, obserwuję go, dopóki nie zniknie za rogiem. Nie do wiary, ale przed chwilą anioł ocalił mnie przed demonem bramy ze świata podziemi. To coś nowego, bo – o ile mi wiadomo – nieśmiertelni od wieków ze sobą nie walczą. A już na pewno nie po to, by uratować życie zwykłej śmiertelniczki.